

G I L L P A U L

*Kobieta
mojego męża*

Przełożyła
Anna Gralak

MANDO 

Originally published under the title *Another Woman's Husband*

© Gill Paul 2017

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka, Alicja Laskowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © KathySG/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2274-4

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: OZGraf • Olsztyn

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

*Dla wspaniałej Lor,
która bardzo mi pomogła przy tej powieści.*

Nigdy Cię nie zapomnę.

Rozdział 1

Paryż, 31 sierpnia 1997

Rachel oparła głowę na ramieniu Alexa i zsunęła dłoń na jego udo. Obejmował ją ramieniem w sposób nie do końca wygodny, jeśli wziąć pod uwagę, że miała na sobie obcisłą chińską sukienkę z jedwabiu i po wejściu do taksówki zapięła pas, ale miała to w nosie. Światła Paryża rozmazywały się za szybą na tle nocnego nieba. Wciągnęła zapach Alexa i pomyślała, że jest niesamowicie szczęśliwa. Jej serce było przepełnione szczęściem. O ilu chwilach w życiu można coś takiego powiedzieć?

Wcześniej, wieczorem, w pokoju hotelowym o stylowym, surowym wystroju Alex zaczął coś mówić, gdy Rachel malowała usta szminką i przeglądała się w złotym lusterku kompaktowym, ale zaraz zamilkł.

– Kochanie, dziś wieczorem chciałem cię o coś spytać, ale sam nie wiem... może lepiej w restauracji...

Wydawał się spięty i onieśmielony, co było do niego zupełnie niepodobne.

Uniosła brew i uśmiechnęła się.

– Odebrało ci mowę?

Odwrócił się w stronę okna, potem znowu do niej.

– Nie, chyba lepiej powiem to później...

Spojrzała na niego z czułością.

– Na litość boską, wykrztuś to z siebie, skoro już zacząłeś.

Krążył po pokoju, gmerając w kieszeni spodni.

– Chodzi o to, że... Boże, Rachel, myślisz, że powinniśmy się pobrać?

To znaczy wyjdiesz za mnie? Proszę.

Tak bardzo ją zaskoczył, że wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

– Mówisz poważnie? – Lubił się z nią droczyć, ale chyba nie żartowałby sobie z tak ważnej sprawy?

– Oczywiście. – Wyjął z kieszeni i podał jej malutkie granatowe pudełeczko.

Poczuła szczypanie łez. W wieku trzydziestu ośmiu lat, mając na koncie kilka koszmarne nieudanych związków, myślała, że ta chwila nigdy nie nadejdzie. Mężczyzna, w którym zakochała się po uszy, prosił, by spędziła z nim resztę życia. Była tak oszołomiona, że nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

– Otworzysz? – spytał Alex.

W środku był zabytkowy pierścionek z brylantem: dwa sporej wielkości kamienie osadzone w pirycie na obrączce z różowego złota. Wyglądał pięknie.

Z jej ust wyrwały się pierwsze słowa, jakie przysły jej do głowy:

– Chcę mieć dzieci. Pisziesz się na to?

Przygryzając wargę, pomyślała, że zabrzmiało to bardzo mało romantycznie. Jakby negocjowała umowę handlową.

– Oczywiście – zgodził się. – Ja też chcę mieć dzieci.

– A jeśli będziemy musieli skorzystać z zaawansowanej technologii, z probówki w klinice leczenia niepłodności?

– Zgadzam się na wszystko – zapewnił. Drżała mu dłoń, gdy wsuwał pierścionek na jej palec, i uświadomiła sobie, jak bardzo jest zdenerwowany. Najwyraźniej dużo to dla niego znaczyło. Objęła go w pasie i przytuliła się do niego. Zawsze czuła, że do siebie pasują: jej głowa znajdowała się na idealnej wysokości dla jego ramienia, jej biodro dotykało jego biodra.

– Co by pani powiedziała, gdybym przed kolacją zaproponował małą wprawkę w robieniu dziecka, pani Greene? – spytał lekko zachrypniętym głosem. Zaczął odpinać guziki jej sukienki.

– A kto mówi, że przyjmę twoje nazwisko? – Pocałowała go. – Myślę, że to ty powinienes przyjąć moje.

Pociągnął ją na łóżko. Na szczęście restauracja zgodziła się przedłużyć rezerwację stolika.

Siedząc w taksówce i wracając myślami do tego momentu, Rachel uświadomiła sobie, że właściwie nie powiedziała „tak”. Mimo to byli zaręczeni. Przyjrzała się pierścionkowi na swoim palcu, obracając dłoń w różne strony. Był to najbardziej niezwykły komplement ze strony mężczyzny. Mieszkali razem od półtora roku, ale Alex nigdy wcześniej nie wspominał o małżeństwie i odnosiła wrażenie, że jest typem niezależnego faceta, który może się nigdy nie ustatkować. Wyglądało na to, że była w błędzie.

Jechali trzypasmówką biegnącą wzdłuż Sekwany. Na drugim brzegu ikoniczny kształt wieży Eiffla jaśniał na tle ciemnego nieba jak na pretensjonalnej pocztówce. Taksówka zmierzała w stronę betonowego tunelu, lecz gdy tylko do niego wjechała, kierowca gwałtownie szarpnął kierownicę i wcisnął hamulec. Rachel runęła do przodu, pas bezpieczeństwa werznął się w jej obojczyk, a głowa odskoczyła do tyłu.

– Co pan...? – zawołał Alex. Taksówkarz zaklął po francusku.

Rachel spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła, że drogę zablokowały motocykle zaparkowane pod dziwnym kątem. Błyskały stroboskopowe światła i w pierwszej chwili pomyślała, że natrafili na jakieś przedstawienie w plenerze.

– *Un accident* – wyjaśnił kierowca. Wyłączył taksometr.

Alex odpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi.

– Zobaczę, co się dzieje – powiedział, ulegając instynktowi producenta telewizyjnego wyczuwającego dobry materiał.

Rachel wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać, ale się spóźniła. Nie chciała, żeby wyglądał na ciekawskiego gapia w miejscu, gdzie mogli być ranni. Patrzyła, jak idzie w stronę tłumu, a gdy jej wzrok przyzwyczaił się do migoczących świateł, zauważyła fotoreporterów. Stroboskopowe efekty były dziełem ich błyskających fleszy. Może w wypadku uczestniczył ktoś znany. Alex rozmawiał z jakimś mężczyzną w skórzanej kurtce trzymającym kask motocyklowy.

Taksówkarz też wysiadł z samochodu, zostawiając Rachel samą. Otworzyła drzwi, wychyliła głowę, żeby lepiej widzieć, i uderzyły w nią odgłosy aparatów fotograficznych. Odbijały się echem w całym tunelu jak terkotanie karabinów maszynowych. W tle ryczał klakson, a wokół czuć było dławiącą woń dymu i benzyny.

Zobaczyła, jak Alex szybko wraca do taksówki. Oczy miał wytrzeszczone, jakby doświadczył jakiegoś wstrząsu, na jego twarzy malował się niepokój. Odezwał się dopiero, gdy podszedł wystarczająco blisko, by mogła go usłyszeć w panującym wokół rejewachu.

– Jezu, Rachel – powiedział. – To księżna Diana!

Rozdział 2

*Burrland niedaleko Middleburga w stanie Wirginia,
lipiec 1911*

Mary Kirk przycupnęła na wąskim łóżku i przeglądała magazyn o modzie. Wokół leniuchowało sześć innych dziewcząt: cztery były w białych strojach do tenisa po niedawnym deblu, dwie wachlowały się i narzekały na potworny upał. Zajmowały wspólnie domek gościnny na letnim obozie dla dziewcząt panny Charlotte Noland. Brakowało wentylatora pod sufitem, więc powietrze było gęste i wilgotne, pachniało przepoconymi tenisówkami i krochmalem.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła panna Katherine Noland, siostra Charlotte, prowadząc szczupłą dziewczynę z ciemnymi włosami i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, która rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, z kim będzie miała do czynienia. Mary też na nią spojrzała. Przybyszka nie była ładna, ale przykuwała wzrok. Miała na sobie zwyczajną, lecz dobrze skrojoną sukienkę, nie była wysoka, ale poruszała się jak ktoś wysoki.

– To Bessiewallis Warfield – oznajmiła panna Katherine. – Dziś do nas dołącza i chciałabym, żebyście dobrze ją przyjęły.

– Wallis – odezwała się dziewczyna głosem zaskakująco niskim jak na piętnastolatkę. – Mówcie mi Wallis.

Dziewczęta podchodziły jedna po drugiej, żeby się przedstawić. Gdy przyszła jej kolej, Mary uśmiechnęła się i spytała:

– Czy Wallace to nie jest imię męskie?

Rozbawione chabrowe oczy skierowały się w jej stronę.

– Nadano mi imię po dziadku – wyjaśniła Wallis. – A tobie? Nazwali cię tak na cześć Błogosławionej Dziewicy?

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiedziała Mary ze śmiechem. – Moje imię świadczy o zupełnym braku wyobraźni moich rodziców.

Wallis uśmiechnęła się i w jej oczach pojawił się błysk.

– Jesteś podobna do Mary Pickford, ale masz ciemniejsze włosy, bardziej kasztanowe niż jasnorude. Bywają gorsze imienniczki.

Mary zarumieniła się, słysząc ten komplement. Nigdy nie była w kinie, ale twarz Mary Pickford można było zobaczyć we wszystkich magazynach – jej uroda zapierała dech w piersiach.

Panna Katherine poprowadziła Wallis w stronę łóżka w kacie i poprosiła dziewczęta, żeby oprowadziły koleżankę po terenie obozu. Później miały się spotkać na pikniku nad jeziorem. Mary pokazała Wallis, gdzie powiesić sukienki i ułożyć bieliznę, a potem stała i patrzyła, jak dziewczyna się rozpakowuje.

– Gdzie mieszkają twoi rodzice? – spytała.

– Mama w Baltimore, ale tata zmarł, kiedy byłam mała. – Wallis mówiła rzeczowym tonem.

Mary była wstrząśnięta. Śmierć ojca musiała być czymś strasznym!

– Na co zmarł? – spytała i od razu pożałowała tych nietaktownych słów.

Wallis chyba nie miała do niej żalu.

– Na gruzlicę – odparła. – Ale mama wyszła za pana Rasina, a to miły człowiek. Dał mi Bully’ego, mojego buldoga francuskiego, i akwarium z tropikalnymi rybkami.

– Masz rodzeństwo?

– Nie, jestem jedynaczką. A ty?

– Jestem drugą z trzech sióstr: starsza ma na imię Buckie, a młodsza Anne.

– Niech to szlag! – zawołała Wallis. – Szkoda, że przynajmniej jedna z nas nie ma braci, którzy mogliby nas poznawać z kolegami. Chodzę do szkoły dla dziewcząt, teraz jestem na obozie dla dziewcząt, więc jak, do diabła, mam poznać jakichś chłopców? Można ich tu gdzieś znaleźć?

Słyszając ten ostry język, Mary w głębi duszy poczuła się zachwycona. W domu dostałaby wielką burę, gdyby powiedziała „do diabła”

albo „niech to szlag”. Ta dziewczyna wydawała się zabawniejsza od innych dziewczyn na obozie, które w większości były po prostu nadęte.

– Jestem tu tylko o jeden dzień dłużej niż ty – powiedziała. – Jeszcze nie zaczęłam się rozglądać za chłopcami. Ale słyszałam, że okoliczni mieszkańcy będą nas zapraszali na podwieczorki, a część z nich na pewno ma synów.

– Co poza tym będziemy robiły przez najbliższe dwa miesiące? – spytała z uśmiechem Wallis. – Nie można bez końca jeździć konno, pływać i grać w tenisa.

Piknik urządzono na stołach ustawionych na kozłach na pochylym trawniku między białą rezydencją z portykiem a spokojnym błękitnym jeziorem, które wilo się na przestrzeni dwóch mil, tworząc zatoczki i odnogi. Wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągały się zielone pola poprzedzielane rzędami drzew obsypanych bujnym listowiem. Powietrze było nieruchome, owady sennie bzycały w ciepłe popołudnia.

Dziewczęta podeszły do stołów, by rzucić okiem na ucztę złożoną z zimnych kotletów cięłych z kostkami owiniętymi marszczonym papierem, sałatki ziemniaczanej, pieczonej szynki i pikli oraz z przeróżnych wymyślnych ciast; całości dopełniały napoje: lemoniada, herbata i kawa. Siostry Noland nadzorowały swoje podopieczne, gdy te spacerowały i rozmawiały. Zgrabne trzymanie przekąsek i napojów, kulturalne jedzenie i unikanie mówienia z pełnymi ustami – to była prawdziwa sztuka. Mary zauważyła, że Wallis poradziła sobie z tym zadaniem, stosując sprytny sposób: prawie nic nie zjadła.

Poszły razem nad wodę, wystawiając twarze na lekkie podmuchy wiatru.

– Powiedz mi, kto jest twoim ideałem chłopaka – odezwała się Wallis.

Mary miała gotową odpowiedź.

– Książę Edward. Mam bzika na jego punkcie. Tylko sobie wyobraź: dziewczyna, która za niego wyjdzie, pewnego dnia zostanie królową.

– Nieźle. – Wallis z uznaniem przechyliła głowę. – Ale czy wiedziałabyś, co zrobić, gdyby nagle stamtąd wyszedł? – Wskazała cypel. – Jak sobie radzisz z dyganiem?

Mary dygnęła i zachichotała.

– Myślę, że od razu bym zemdląła.

– Bez obaw. Mówieniem zajęłabym się ja. Powiedziałabym mu, że jesteś najcudowniejszą dziewczyną na świecie, i pożyczyłabym mu sole trzeźwiące, żeby mógł cię ocucić, trzymając cię w ramionach.

Roześmiały się. Panna Charlotte zachęcała podopieczne do wspólnego spędzania czasu, ale Mary i Wallis za bardzo oddaliły się od grupy, zajęte swoją kielkującą przyjaźnią.

– Zastanawiasz się czasami, jakie to uczucie pocałować chłopaka? – spytała Wallis. – Nie mogę się zdecydować, czy należy mieć usta zamknięte, czy lekko rozchylone. Ćwiczyłam na dłoni, ale nie jestem pewna, kiedy jest lepiej. Sama spróbuj.

Mary pocałowała grzbiet swojej dłoni, raz z zamkniętymi ustami, a raz z otwartymi.

– Nie wiem. Chyba po prostu pozwalasz, żeby inicjatywę przejął chłopak.

Wallis odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem.

– Mary Kirk, z takim podejściem napytasz sobie mnóstwo kłopotów!

Mary zarumieniła się.

– Oczywiście nikogo bym nie pocałowała, dopóki by się nie oświadczył.

– Moja babcia mawiała: „Nie pozwól, żeby mężczyzna całował cię w rękę, bo w przeciwnym razie nigdy się z tobą nie ożeni”. I jeszcze: „Za żadne skarby nie wychodź za Jankesa”.

– Nawet przez myśl by mi to nie przeszło – powiedziała Mary, naśladowując akcent ślicznotki z Południa.

– Co nie przeszłoby ci przez myśl, Mary? – spytała panna Charlotte, doganiając je. – Zamierzacie wziąć udział w naszym przyjęciu czy wolicie stworzyć prywatny klub?

– Przepraszamy, panno Charlotte – odparła natychmiast Mary.
– Nic się nie stało. Miło widzieć, że się zaprzyjaźniacie. – Panna Noland uśmiechnęła się, spoglądając na nie.

Mary była dumna, że Wallis została jej przyjaciółką. Bez wątplenia była najbystrzejszą, najbardziej wyrafinowaną i interesującą dziewczyną na całym obozie.

Mieszkająca nieopodal rodzina państwa Tabbów zaprosiła grupę dziewcząt, w tym Wallis i Mary, na niedzielną kolację. Gdy przyjechały powozem sióstr Noland, dwaj synowie gospodarzy, Lloyd i Prosser, pomogli im wysiąść. Siedemnastoletni Lloyd był przystojniejszy i bardziej obyty od brata. Młodszego o dwa lata Prossera cechowała chłopcęca nieporadność. Wallis od razu zaczęła rozmawiać z Lloydem, jakby interesowało ją każde jego słowo. Prosser zaproponował Mary szklanekę zimnego napoju z wiśni.

– Och, dziękuję – odrzekła. Cieszyła się, że nie zostanie sama, ale nie była pewna, o czym rozmawiać z chłopcami. Co ich interesowało? Gdyby Wallis i Lloyd byli bliżej, mogłaby przysłuchiwać się ich rozmowie. Wyglądało na to, że Wallis nie ma najmniejszych trudności ze znalezieniem tematu.

– Czy twoja rodzina mieszka tu od dawna? – pytała Prossera. – Zajmujecie się uprawą ziemi? Chciałbyś w przyszłości pracować na roli? – Zanudzała siebie samą i słuchała śmiechu dobiegającego od strony Wallis i Lloyd. Z czego oni się tak śmiali, na litość boską?

Poczuła ulgę, gdy Prosser zaproponował, by podeszli do jego brata i Wallis, ale temat ich rozmowy wprowadził ją w konsternację.

– Panna Warfield i ja spieramy się o Ty’a Cobba i Napa Lajoiego – oznajmił Lloyd. – Jej zdaniem w ubiegłym sezonie sfałszowano statystyki Ty’a i najlepszym pałkarzem powinien być zostać Nap.

– Zgadzam się – powiedział Prosser. – Słyszeliście o meczu w Saint Louis? Wszyscy wiedzą, że zaliczył wszystkie osiem uderzeń.

Mary poczuła się tak, jakby trafiła do kraju, w którym mówi się innym językiem. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że rozmowa

dotyczy bejsbolu, i oniemiała, słysząc, z jaką wprawą Wallis posługuje się sportową terminologią. Skąd ona to wszystko wiedziała?

– Czytam o bejsbolu w gazetach – wyjaśniła jej później Wallis. – Wszyscy chłopcy go lubią, więc wiem, że to mi się przyda.

Lloyd i Prosser zaprosili je na następny dzień, żeby popływać łódką. Wallis, nie pytając Mary o zdanie, umówiła się z braćmi na wpół do trzeciej, zaraz po lanczu. Zawczasu przygotowała alibi i powiedziała pannie Noland, że wybierają się na jagody.

– Dam wam koszyki – odrzekła rozpromieniona panna Katherine. – Upieczemy na kolację placek z owocami.

W drodze na umówione spotkanie z braćmi Tabb zerwały kilka garści czarnych jagód, postanawiając, że w drodze powrotnej zbiorą więcej.

Chłopcy już na nie czekali. Pomogli im wsiąść do drewnianej łódki. Leżąc na rufie i zanurzając palce w wodzie, Mary czuła się tak, jakby przeniosła się do nowego wspaniałego świata. Nie przeszkadzało jej, że Wallis była bardziej pewna siebie. Mary mogła być tą spokojniejszą z nich dwóch i po prostu śmiać się z nieporadnych żartów chłopców. Była zachwycona, bo wyglądało na to, że po raz pierwszy ma chłopca. Prosser był uroczy i taktowny, lubiła obserwować mięśnie jego ramion, gdy wiosłował.

Było to pierwsze z wielu spotkań tej czwórki w czasie długiego, leniwego lata. Panna Noland nigdy nie kwestionowała wymówek Wallis i wydawała się zadowolona, że ich przyjaźń kwitnie.

Pewnego popołudnia, gdy urządzili we czworo piknik, Wallis i Lloyd zaszyli się razem w lesie. Prosser leżał na boku, opierając się na łokciu, i patrzył na leżącą na trawie Mary.

– Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem – powiedział. – Szczęściarz ze mnie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się.

– Dostała mi się ładniejsza z was dwóch, to pewne – ciągnął.

– Jesteś bardzo miły – odrzekła. – Ale Wallis też jest ładna.

– Nie tak ładna jak ty. – Przysunął się i zrobił maślane oczy. – Mogę cię pocałować? Tylko jeden mały pocałunek.

Mary gwałtownie się wyprostowała.

– To absolutnie wykluczone! Za kogo ty mnie uważasz, łobuzie?
Zawstydzony wzruszył ramionami.

– Twoja przyjaciółka cały czas pozwala Lloydowi się całować.

Mary zarumieniła się.

– Nie wierzę. Ale z ciebie kłamczuch!

Wracając po randkach do obozu, Wallis i Mary zazwyczaj opowiadały sobie o tym, co chłopcy powiedzieli albo zrobili. Mary już miała na końcu języka to, o czym doniósł jej Prosser. Wallis z pewnością byłaby oburzona, słysząc tak skandaliczne wymysły.

Z jakiegoś powodu Mary postanowiła jednak o tym nie wspominać. W głębi ducha przypuszczała, że Prosser mówił prawdę.

Rozdział 3

Baltimore, jesień 1912

Jesienią 1912 roku Wallis i Mary przyjechały do szkoły z internatem Oldfields w Baltimore, by rozpocząć ostatnie dwa lata kształcenia wśród pięćdziesięciu sześciu najznamienitszych córek rodzin z Marylandu. Bardzo się ucieszyły, odkrywając, że będą dzieliły pokój i że ich wychowawczynią będzie panna Rosalie Noland, kolejna siostra z rodziny organizującej letnie obozy. Wallis podkochiwała się teraz w Philipie, trzydziestopięcioletnim bracie sióstr Noland, który dawno zajął w jej sercu miejsce Lloyda Tabba, lecz Mary wciąż korespondowała z Prosserem, wymieniając z nim słodkie, niewinne listy. Pisał jej o żniwach albo o doglądaniu zwierząt hodowlanych, a ona w odpowiedzi opisywała mu swój nowy kapelusz albo przeczytany niedawno romans.

Ściany pokoju Wallis i Mary pokrywała tapeta w kwiaty. Stały tam dwa żelazne łóżka oraz miednica z dzbanem z deltowego fajansu. Na drzwiach widniało motto szkoły: „Takt i uprzejmość w każdej chwili” i wkrótce ku swojemu rozbawieniu zauważyły, że ozdobiono nim wszystkie drzwi w olbrzymim budynku z połowy dziewiętnastego wieku.

– Pozwól, że uprzejmie podam ci śmietankę do kawy – zażartowała Wallis podczas śniadania.

– Czy mogę ci taktownie zaproponować trochę masła? – zrewanżowała się Mary.

Poczucie humoru Wallis szybko zapewniło jej sympatię innych dziewcząt. Miała talent do naśladowania ludzi: umiała bezbłędnie uchwycić szkocką wymowę dyrektorki Nan McCulloch: „Żadnych

rrozmów po zgaszeniu świateł, dziewczęta. I żadnego rrozmyślenia o chłopcach”. Potrafiła też przyzwoicie naśladować angielski akcent. Jedną z koleżanek, Eleanor Jessop, pochodziła z Anglii. Jej rodzina przyjechała na rok do Baltimore, ponieważ ojciec Eleanor prowadził w tym mieście interesy. Dziewczyna uczyła się w szkole, choć nie mieszkała w internacie. Wallis uważnie przysłuchiwała się jej akcentowi, prosząc o powtarzanie takich zdań jak: „Mój ojciec nie potrafi wiosłować”, aż po mistrzowsku opanowała obce brzmienie samogłosek.

Czasami, natykając się na Wallis pochłoniętą rozmową albo spacerującą z inną dziewczyną, Mary czuła ukłucie zazdrości, ale w głębi duszy wiedziała, że niepotrzebnie. Wallis zawsze do niej machała, zapraszając ją do swojego grona, i wyraźnie dawała wszystkim do zrozumienia, że to Mary jest jej najlepszą przyjaciółką, że to ją sobie wybrała.

– Jak to jest mieć siostry? – spytała pewnego dnia.

Mary zastanowiła się.

– Potrafią być denerwujące. Bez pytania pożyczają ubrania i książki, a moja starsza siostra Buckie traktuje mnie z góry. Ale chyba mają też jakieś zalety.

– Jestem dla ciebie jak siostra? – spytała Wallis. – Jesteś ze mną tak zżyta jak z Buckie i Anne?

Mary zdecydowanie pokręciła głową.

– O wiele bardziej. Im nie mogłabym powiedzieć połowy tego, co mówię tobie.

– W takim razie możemy zostać siostrami honorowymi – oznajmiła Wallis, biorąc Mary za rękę. – Siostrami, które same się wybrały, a nie takimi, które są na siebie skazane dlatego, że przyszły na świat w jednej rodzinie. Podoba mi się ten pomysł. Mam za mało krewnych. Tylko mamę, pana Rasina, ciocię Bessie, stryja Sola i kilkoro kuzynów, prawie tyle co nic.

– Oczywiście, że zostanę twoją siostrą honorową – rozpromieniła się Mary. – Z przyjemnością.

Wallis nie była buntowniczką. Zbierała świetne oceny, nauczyciele ją lubili i rzadko ktokolwiek ją ganił. Według Mary tym, co odróżniało ją od reszty stada, była niezwykła wyobraźnia. Wallis ciągle snuła nowe plany i miała odwagę wcielać je w życie. To ona przemyciła do internatu trochę tranu i pilnowała, by codziennie rano obie zatykały nosy i wypijały go po łyżce, ponieważ wyczytała w jakimś magazynie, że dzięki temu łatwiej jest schudnąć. (Nie żeby Wallis tego potrzebowała, była chuda jak patyk – z nich dwóch to Mary miała skłonność do przybierania na wadze). To Wallis zdobyła trochę wybielacza i posmarowała nim piegi na nosie Mary, wywołując zaczerwienienie i pieczenie, a potem wymyśliła niedorzeczną historyjkę o rakiecie tenisowej i niespodziewanie otwartych drzwiach, by wyjaśnić te obrażenia pannie Noland. I Wallis poprosiła Eleanor Jessop o listę miejsc, w których można spotkać księcia Edwarda, jeśli przypadkiem zawita się do Anglii, tylko po to, by pewnego dnia Mary mogła wpaść na swojego idola.

– Księżę studiuje w Oksfordzie – powiedziała Eleanor – i grywa w tamtejszym klubie polo. W gazetach piszą, że wprost uwielbia polo.

– No i proszę! – Wallis puściła oko do Mary. – Musisz tylko zostać ekspertką od polo, zjawić się na meczu... nazywają to meczem?... i pozwolić, by zauważył twoją urodę. Szkoda mi tylko biednego Prossera. Przez ciebie poczuje, jak to jest mieć złamane serce.

– Och, Boże, co ty wygadujesz! – Mary zarumieniła się. – Obydwoje jesteśmy za młodzi, żeby traktować to poważnie.

– Moja mama zawsze powtarzała, że młodzieńczą miłość należy traktować poważnie. „Czy nadepnąć na ogon szczenięcia – mówiła – czy na ogon dorosłego psa, ból jest taki sam”.

Mary nie była pewna, czy Wallis nie żartuje, ale zaczęła mieć wyrzuty sumienia, że robi Prosserowi złudne nadzieje. Napisała do niego, starając się taktownie wyjaśnić, że cieszy się z ich przyjaźni, lecz nie powinien liczyć na nic więcej. Niestety, gdy wymknęła się ze szkoły, żeby wysłać ten list, przyłapała ją panna McCulloch. Korespondowanie z chłopcami było surowo wzbronione i dyrektorka postanowiła poruszyć ten temat na porannej modlitwie.

– Wszystkie jesteście młodymi kobietami z dobrych domów. Gdy pewnego dnia wyjdziecie za mąż, wasz wybranek będzie chciał mieć pewność, że był jedyny... – Rozejrzała się po sali, zatrzymując czujne spojrzenie na kolejnych wychowankach. – Przypuszczam, że nie zdajecie sobie sprawy, jak poważną rzeczą jest korespondowanie z młodym mężczyzną, z którym nie łączą was więzi pokrewieństwa. Taki czyn może mieć niezwykle doniosłe reperkusje i nigdy nie należy beztrąsko podejmować tego rodzaju działań. – Zamilkła dla lepszego efektu. – Niedawno dowiedziałam się, że jedna z dziewcząt z Oldfields koresponduje z chłopcem poznanym na letnim obozie. Proszę, by inne dziewczęta prowadzące równie niemądrą korespondencję natychmiast się do tego przyznały, abyśmy mogły naprawić sytuację, nim będzie za późno.

Wallis pierwsza podniosła rękę, a inne dziewczęta, zachęczone jej przykładem, zrobiły to samo. Ostatecznie tylko dwie wychowanki wciąż siedziały z opuszczonymi rękami. Twarz panny McCulloch oblała się rumieńcem i przez chwilę odnosiło się wrażenie, że kobieta wybuchnie płaczem. Zdołała się jednak opanować.

– Chcę porozmawiać z każdą z dziewcząt, które podniosły rękę. Na osobności. W moim gabinecie.

Ustawiły się w kolejce i jedna po drugiej wchodziły do środka, a po jakimś czasie wychodziły z opuszczonymi głowami. Wallis po rozmowie od razu poszła do Mary, by zdać jej relację z tego, co usłyszała od dyrektorki.

– Pytała, do kogo piszę – oznajmiła z uśmiechem. – Żałuj, że nie widziałas, jaką zrobiła minę, kiedy jej powiedziałam, że to nikt inny jak brat panien Noland. „Powinien być rozważniejszy”, mruknęła. Więc chyba dopilnuje, żeby to się skończyło. – Wzruszyła ramionami. – To nic. I tak jest dla mnie za stary.

Wstrząsające odkrycie, że wszystkie oprócz dwóch uczennic piszą listy do chłopców, dostarczyło im tematu na kilka tygodni zajmujących rozmów. Dziewczęta w tajemnicy pokazywały sobie listy i zdjęcia, zasięgając opinii koleżanek. Te, które wcześniej nieszczególnie się

przyjaźniły, miały odtąd wspólne zainteresowania. Cała ta historia bardzo ożywiła atmosferę w Oldfields zimą na przełomie 1912 i 1913 roku.

Gdy 4 kwietnia 1913 roku panna Rosalie Noland przysłała do klasy w czasie lekcji historii Anglii i poprosiła, by Wallis poszła z nią do gabinetu panny McCulloch, Mary zaczęła się zastanawiać, co takiego przeszkrobała tym razem jej przyjaciółka. Którą zasadę złamała? Nie przychodziło jej do głowy nic konkretnego, ale w szkole obowiązywało tyle zasad, że trudno było przetrwać dzień, nie naruszając kilku z nich.

Dziesięć minut później panna Noland wróciła i poprosiła Mary, żeby też poszła razem z nią.

– Co się stało? – szepnęła Mary, gdy szły korytarzem.

– Przyjaciółka cię potrzebuje – odrzekła panna Noland łagodnym tonem. To było dziwne.

Mary poszła z nią do pokoju, w którym zastała Wallis wrzucającą ubrania do skórzanej torby podróżnej. Przyjaciółka gorzko płakała, miała czerwone oczy, a jej twarz lśniła od łez.

Mary podbiegła do niej, objęła ją ramieniem i przytuliła.

– Mój Boże, co się stało? – spytała.

– Pan Rasin u-umarł – wyjąkała Wallis. Oddychała nierówno, drżały jej ramiona.

– O nie!

– Jak to możliwe, że straciłam już dwóch ojców, przecież mam dopiero siedemnaście lat! – płakała Wallis. – Co jest ze mną nie tak?

Wtuliła się w Mary i zanosiła się płaczem. Jej chude ciało trzęsło się, łzy zmoczyły rękaw sukienki Mary.

Mary nie wiedziała, co powiedzieć. Wallis na pewno była przerażona. Kto będzie teraz utrzymywał ją i jej matkę? Czy gdy pan Rasin przestał opłacać chesne, przyjaciółka będzie mogła się dalej uczyć? Mary poczuła ból w klatce piersiowej, jakby ten smutek udzielił się także jej, i jeszcze mocniej przytuliła Wallis.

– Będę twoją przyjaciółką do końca życia – obiecała. – Twoją siostrą honorową. Zawsze i na wieki, aż do końca świata.

Rozdział 4

Paryż, 31 sierpnia 1997

Rachel wysiadła z taksówki i spojrzała na tłum fotoreporterów z olbrzymimi czarnymi aparatami w rękach i dodatkowym sprzętem przewieszonym przez ramię. Prawie nie widziała rozbitego samochodu, ponieważ tunel był słabo oświetlony jarzeniówkami umieszczonymi wysoko po bokach, a lampy błyskowe migotliwie rozświetlały całą scenę.

– Jesteś pewny, że to Diana? – Musiała niemal krzyknąć, by Alex ją usłyszał w tym hałasie.

Alex wyraźnie chciał jak najszybciej wrócić na miejsce wypadku.

– Zauważyłem jasne włosy. Jest przy niej lekarz.

– Mocno ucierpiała?

– Nie wiem. Jeden z fotoreporterów słyszał, jak coś mówiła.

Rachel poczuła przypływ obrzydzenia.

– Wyobraź sobie, jak ona się czuje uwięziona w samym środku czegoś takiego. – Rój mężczyzn wokół samochodu przypominał oddział specjalny przypuszczający szturm, a ich aparaty fotograficzne kojarzyły się jej z bronią.

Alex pokręcił głową, uwalniając rękę z jej uścisku.

– Pójdę zobaczyć, czy mogę jakoś pomóc. Może będą potrzebowali tłumacza.

Mówił płynnie po francusku, więc zabrzmiało to sensownie. Z każdą chwilą zjawiali się kolejni ludzie, podchodzili do rozbitego samochodu, przepychali się, żeby lepiej widzieć. Gdzie była policja? Ktoś powinien ich odsunąć.

Poczuła przypływ wściekłości i ruszyła w stronę najbliższych stojących fotoreporterów.

– *Laisse la tranquille!** – zawołała, stając naprzeciw nich.

Jeden z nich odkrzyknął coś po francusku, najprawdopodobniej obrzucając ją wyzwiskami, i podniósł aparat, żeby dalej robić zdjęcia nad jej głową.

– *Arrête!*** – Podniosła rękę. Biedna Diana. Rachel nie była monarchistką, w latach siedemdziesiątych słuchała punk rocka, a na dowód chodziła w koszulce z napisem „God Save the Queen” i nosiła krótko obcięte, tlenione włosy, lecz jednocześnie, chcąc nie chcąc, była zafascynowana piękną księżną, która tchnęła życie w konającą monarchię. Królewski ślub był urzeczywistnieniem marzeń każdej małej dziewczynki.

Nie znajdując kolejnych francuskich słów, zaczęła wygarniać fotoreporterom po angielsku.

– Ona jest ranna. To ohydne. Przestańcie!

Przecisnęła się między nimi, starając się zasłonić wścibskie obiektywy, i właśnie wtedy kątem oka zauważyła Dianę. Księżna była w dziwnej pozycji, klęczała między tylnym a przednim siedzeniem, zwrócona niemal do tyłu. Widocznie obróciła ją siła zderzenia. Miała na twarzy maskę tlenową, ale fryzura nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że to ona. O czym myślała, gdy tak klęczała, zupełnie bezbronna?

– Dranie! – krzyknęła Rachel do dziennikarzy. – *Arrête!*

Nie widziała innych pasażerów ani kierowcy, ale mignęła jej czyjaś ręka, tył głowy, czyjeś nogi wygięte pod niewłaściwym kątem w stosunku do ciała, ciemny błysk mogący być jedynie krwią. Lewa przednia strona samochodu była poskręcaną masą wgniecionego i rozerwanego metalu. Rachel odwróciła wzrok, nie chcąc widzieć więcej. Mdlilo ją od zapachu benzyny i z czystego przerażenia całą

* Zostaw ją w spokoju!

** Przestań!

tą sytuacją. Syreny zapowiadały przyjazd pierwszych radiowozów. Spoglądając w stronę wlotu tunelu, Rachel zauważyła, że funkcjonariusze odgradzają teren. Karetka na sygnale nadjechała z przeciwnej strony i zatrzymała się z piskiem opon. Rachel patrzyła, jak ratownicy wyskakują z niej i przeciskają się przez tłum. Część fotoreporterów zwlekała z odsunięciem się.

– Na litość boską, ruszcie się! – krzyknęła Rachel.

Kilku gapiów dołączyło do niej i też zaczęło ich krytykować.

Ktoś – przypuszczalnie policja – włączył jasne lampy łukowe, które oświetliły scenę złowieszczym blaskiem. Było to ponure, klaustrofobiczne miejsce z rzędem surowych, kanciastych, betonowych filarów oddzielającym pasy ruchu. Ściany wzniesiono z szorstkiego porowatego betonu, sufit poczerniał przez dziesięciolecia wchłaniania wyziewów z rur wydechowych.

Zobaczyła Alexa niedaleko wraku. Zastanawiała się, czy rozmawia z księżną. Być może, słysząc angielski akcent, poczułaby się bezpieczniejsza. W pracy Alex przywykł do kontaktów ze znanymi osobami. Wielu ludzi chodziło wokół nich na palcach, byli onieśmieleni ich sławą, ale Alex wygłaszał szczere opinie i chyba to doceniano.

Policjanci otaczali fotoreporterów, nakazując im wycofać się z tunelu. Jeden mężczyzna się wyklócał, nie chciał oddać aparatu. Rachel wróciła do taksówki, w której znów siedział kierowca. Miała nadzieję, że Alex do niej dołączy, bo nie chciała, by policja wzięła go za jednego z dziennikarzy.

Nagle zobaczyła, jak się zbliża. Miał ponurą minę. Otworzył drzwi i wszedł.

– Dalej jest we wraku – powiedział. – Odcinają dach.

– *Que se passe-t-il?** – wtrącił się taksówkarz i Alex przetłumaczył.

– Kto jeszcze jest w samochodzie? – spytała Rachel. – Boże, chyba nie jej synowie, prawda?

Alex ścisnął jej kolano.

* Co się stało?

– Nie, to byli Dodi Al-Fayed, ochroniarz i kierowca. Dodi i kierowca nie żyją.

Latem gazety rozpisywały się o tym, że księżna spotyka się z Al-Fayedem, synem egipskiego właściciela domu towarowego Harrods. Rachel była wstrząśnięta wieścią o jego śmierci. Już miała spytać Alexa, skąd to wie, lecz na razie nie potrafiła zmierzyć się z makabrycznymi szczegółami.

Samochody i motocykle zaczynały wyjeżdżać z tunelu. Do taksówki podszedł policjant i Alex wysiadł, żeby z nim porozmawiać, zostawiając otwarte drzwi. Rachel słyszała, jak funkcjonariusz pyta o ich nazwiska i zapisuje je w notesie. Alex wyjaśnił, że są na urlopie, ale nazajutrz lecą do domu, a potem podał swoje nazwisko i adres hotelu. Policjant spytał, czy przed wyjazdem mogliby się zgłosić do głównej siedziby brygady kryminalnej przy *quai des Orfèvres*. Nalegał, by złożyli zeznania, mimo że nie widzieli, jak doszło do wypadku.

Taksówkarz zawrócił i wyjechał z tunelu tą samą drogą, którą oni do niego wjechali. Rachel spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Spędzili tam ponad pół godziny. Karetka wciąż stała w tym samym miejscu, więc Diana prawdopodobnie nadal była uwięziona we wraku. Na pewno była przerażona.

– Tłumaczyłeś to, co mówiła księżna? Jak ona się czuła?

Alex pokręcił głową.

– Lekarz dość dobrze znał angielski. Wygląda na to, że została ranna w głowę. Chyba ma złamaną nogę.

– I serce. Jeśli ta sprawa z Dodim to było coś poważnego. Na pewno jest w ciężkim szoku.

Przez resztę drogi do hotelu siedzieli w milczeniu i trzymali się za ręce, a gdy weszli do pokoju, Alex włączył telewizor. Na wszystkich kanałach pokazywano karetkę wiozącą Dianę do szpitala *Pitié-Salpêtrière*, gdzie, jak zapewniał komentator, zespół najlepszych specjalistów czekał, by się nią zająć. Rachel zrzuciła buty na obcasie, które cisnęły ją przez cały wieczór, i słuchała relacji, zmywając makijaż, myjąc zęby i przebierając się w aksamitny szlafrok z lat trzydziestych.

Gdy wróciła do sypialni, Alex trzymał jakiś mały srebrny przedmiot. Wyciągnął rękę, by jej go pokazać.

– To wypadło z samochodu, kiedy lekarz próbował wydobyć Dianę. Nikt tego nie zauważył, więc podniosłem.

Rachel wzięła od niego tę rzecz. Było to małe serduszko z wygrawerowaną z boku rzymską liczbą XVII. Siedemnaście. Serduszko było ciężkie i miało białawy odcień, pomyślała więc, że to raczej platyna niż srebro.

– Myślisz, że należy do niej?

Alex wzruszył ramionami.

– W samochodzie nie było innych kobiet.

Rachel odwróciła serduszko. Z tyłu ujrzała wygrawerowaną literę J.

– Lepiej oddaj to jutro policji, kiedy będziemy w komisariacie – powiedziała.

Alex pokiwał głową.

– Tak zrobię.

Na ekranie pokazywano karetkę wjeżdżającą na teren szpitala. Rachel położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Wciąż czuła woń benzyny. Cóż za dziwna noc: najpierw oświadczyły, a teraz to. Była tym wszystkim wstrząśnięta.

Rozdział 5

Paryż, 31 sierpnia 1997

Rachel, obudź się!
Powoli otrząsała się z odrętwienia wywołanego głębokim snem. Alex pocierał jej ramię.

– Ona umarła – wykrztusił. Słowa uwięzły mu w gardle. W tle słyszała szmer francuskich głosów wydobywający się z telewizora. Ich ton brzmiał ponuro, ale rzeczowo.

Kto umarł? Rachel spojrzała na zegarek obok łóżka. Była szósta rano. W jej umyśle rozbłysły wydarzenia sprzed kilku godzin i odwróciła się na drugi bok, by spojrzeć na Alexa.

– Masz na myśli Dianę?

Kiwnął głową, nie odrywając oczu od ekranu.

Poczuła ukłucie nierealności i dźwignęła się do pozycji siedzącej.

– Jak to możliwe? Mówiłeś, że w samochodzie się odzywała.

Zwołano konferencję prasową. Mężczyzna podpisany na ekranie jako „sir Michael Jay, Ambassadeur du Royaume-Uni en France” przemawiał po angielsku:

– Śmierć księżnej Walii jest dla nas wszystkich głębokim szokiem i przepelnia nas smutkiem.

Jego słowa przetłumaczone na francuski przesuwają się na dole ekranu. Lekarz wyjaśnił, że księżna doznała poważnych obrażeń wewnętrznych i mimo reanimacji na miejscu wypadku oraz operacji przeprowadzonej natychmiast po przewiezieniu do szpitala nie udało się jej uratować.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Alexowi drżał głos. Rachel zauważyła, że wciąż jest w ubraniu, nie położył się spać.

– Biedna kobieta – mruknęła. – Ci wszyscy fotoreporterzy robili jej zdjęcia, kiedy umierała. To okropne.

Ktoś w telewizji mówił teraz po francusku. Alex słuchał.

– Jej ochroniarz przeżył, ale jest poważnie ranny. Co do dwóch pozostałych miałem rację. Kierowca i Dodi Al-Fayed nie żyją.

Przesuwające się napisy potwierdziły jego słowa.

– O Boże, jej synowie! – zawołała Rachel, do której zaczęły docierać implikacje tego, co się stało. – Ciekawe, czy ktoś już ich powiadomił. – Nie mogła sobie przypomnieć, w jakim są wieku. Mieli chyba po kilkanaście lat.

Alex słuchał jej jednym uchem, wciąż był skupiony na telewizorze.

– Na pasku jest napisane, że poinformowano księcia Karola i królową, ale synowie dowiedzą się dopiero rano. – Słowa znowu uwięzły mu w gardle. Jemu też zmarła matka, gdy miał dwanaście lat, widocznie wracał pamięcią do tamtych traumatycznych chwil.

Rachel objęła go ramieniem, pogłaskała po plecach. Spojrzał na nią z przerażeniem w oczach.

– Nie rozumiem, dlaczego nie udało im się jej uratować. Co tam robili, do cholery?

Pokręciła głową, nie mogąc tego pojąć. Kobieta parę lat młodszą od niej, matka. Przypuszczała, że tego rodzaju tragedie zdarzają się bez przerwy, tyle że nie tak sławnym ludziom. Osoby z pokolenia jej rodziców zawsze mówiły, że pamiętają, co robiły, gdy usłyszały wiadomość o zamachu na prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Najwyraźniej śmierć Diany miała być takim kamieniem probierczym dla jej pokolenia – a ona była jej świadkiem.

– Słyszałaś, co mówiła w samochodzie? Wiedziała, jak ciężko jest ranna?

– Nie słyszałem tego osobiście – odrzekł Alex – ale jeden z fotoreporterów powiedział, że się odwróciła, żeby spojrzeć na Dodiego, i zawołała: „O Boże!”, a potem, kiedy jeden z nich próbował jej pomóc, powiedziała: „Zostawcie mnie w spokoju”. Niczego więcej nie wiem.

– Nie krwawiła, prawda?

– Po jej czole spływała wąska strużka krwi. Na ubraniu niczego nie zauważyłem.

Był tak blisko księżnej, że gdyby chciał, mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć, a poza tym widział pozostałych pasażerów samochodu wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że dwaj z nich zginęli. Rachel zastanawiała się, czy Alex przypadkiem nadal nie jest w szoku.

Wstała z łóżka, napełniła czajnik wodą z kranu w łazience i włączyła go. Na tacy leżały torebki z herbatą PG Tips i saszetki z neską, a obok nich kartoniki z mlekiem. Włożyła torebki z herbatą do dwóch filiżanek i mając wrażenie nierealności, wpatrywała się w obrazy na ekranie telewizora, czekając, aż woda się zagotuje. Pokazywali tunel, nadal zamknięty dla ruchu drogowego. W środku pracowała już jednak zamiatarka. Przed szpitalem roіło się od dziennikarzy. Pokazano też archiwalne ujęcia z hotelu Balmoral, w którym zatrzymali się członkowie rodziny królewskiej.

– Mówią, że to była wina paparazzich – powiedział Alex. – Ścigali mercedesa księżnej spod Ritza, w którym zjadła kolację z Dodim. Chyba jeden z nich zajechał mu drogę i kierowca gwałtownie odbił w bok, żeby go ominąć.

Rachel wmieszała mleko do jednej z herbat, zauważając przy tym, że drży jej ręka, a potem podała filiżankę Alexowi.

– Ci fotoreporterzy zachowywali się jak dzikusy. Bezprawnie. Te ich aparaty z wielkimi, długimi obiektywami przypominały broń. – Mimowolnie się wzdrygnęła i rozlała trochę herbaty na spodek.

– Tak, to niezbyt taktowny sposób zarabiania na życie.

W milczeniu wpatrywali się w ekran, sącząc herbatę o lekko metalicznym posmaku. Trudno było pogodzić się z tym, że tak ikoniczna postać odeszła na zawsze: Di w kamizelce kuloodpornej w afrykańskiej wiosce, w sukni wieczorowej na balecie albo w tych mamusiowatych garsonkach, które wkładała na spotkania będące nieodłącznym elementem codzienności rodziny królewskiej we współczesnych czasach. Jaka szkoda, że się nie pomylili, że nie był

to przypadek omyłkowego wzięcia jakiejś osoby za kogoś innego. Jaka szkoda, że Diana zginęła.

– Chciałabym, żeby to nie była prawda – powiedziała Rachel. – Chciałabym, żeby jakaś pielęgniarka w kostnicy zauważyła drżenie jej powiek, albo ledwie dostrzegalny oddech, i zawiozła ją z powrotem na oddział, gdzie lekarze zdołaliby przywrócić ją do życia.

Alex pokręcił głową.

– Lekarze na pewno próbowali wszystkich sposobów znanych naukom medycznym. Czuli przecież, że patrzy na nich cały świat. Uratowanie jej byłoby wielkim osiągnięciem. Zastanawiam się tylko, dlaczego minęło aż tyle czasu, zanim przewieźli ją do szpitala. Od wypadku musiały upłynąć co najmniej dwie godziny. To mogło zadecydować o życiu albo śmierci.

Rachel poczuła, jak jej ciało pokrywa się gęsią skórką. Gdyby tylko mogli cofnąć czas, rozegrać to inaczej. Gdyby mogli.

Zamierzali spędzić dzień na spacerach po Montparnassie, lecz obydwójce byli otępiali z niewyspania. Zamiast spacerować, wypili więc café au lait w ulicznej kawiarni. Alex zamówił omlet, ale Rachel nie była głodna. Gdy skończył jeść, pojechali prosto do siedziby brygady kryminalnej, aby złożyć zeznanie.

Po półgodzinie w zatłoczonej poczekalni cuchnącej stęchłym czosnkiem zaprowadzono Rachel do pozbawionego okien pokoju przesłuchań. Ledwie starczało tam miejsca, by przycisnąć się obok ustawionego na środku stolika i krzesel. Pozwoliła młodej policjantce skserować swój paszport, a potem zapisała nazwę restauracji, w której wcześniej zjedli kolację, baru, w którym po kolacji tańczyli policzek przy policzku, i hotelu, w którym się zatrzymali. Kobieta słabo mówiła po angielsku, ale Rachel nie skorzystała z jej propozycji, by zaczekać na tłumacza, i udzieliła odpowiedzi swoją szkolną francuszczyzną. Powiedziała, że widziała księżną tylko z daleka, ponieważ zasłaniali ją fotoreporterzy. Chciała wyrazić, jak okropnie się czuła, patrząc na mężczyzn pstrykających

zdjęcia, lecz zdołała powiedzieć jedynie: *Les photographes étaient horribles**.

Jej przesłuchanie wkrótce dobiegło końca, ale po powrocie do poczekalni nie zastała tam Alexa. Usiadła, by na niego zaczekać, i zaczęła przeglądać przewodnik. Jakiś uśmiechnięty Francuz przechylił się w jej stronę i spytał, czy może przeczytać jej spódnicę. Miała na sobie trapezową spódnicę z lat pięćdziesiątych we wzór z wycinków starych francuskich gazet umieszczonych wśród ilustracji paryskich atrakcji turystycznych. Wcześniej myślała, że to dobry strój na wizytę w tym mieście, lecz teraz spódnica wydała jej się pretensjonalna. Uśmiechnęła się uprzejmie i wróciła do czytania przewodnika.

Alex zniknął na całe wieki – co najmniej na godzinę – a gdy wrócił, był blady i spięty.

– Wynośmy się stąd – szepnął, biorąc ją za rękę i pomagając jej wstać.

– Jak poszło? – spytała, kiedy wyszli na skąpaną w ciepłym słońcu ulicę.

– Okropnie! Policjant był bardzo wrogo nastawiony. Musiałem zaznaczyć na rysunku, gdzie dokładnie stałem, i spróbować wyjaśnić, gdzie byli poszczególni fotoreporterzy. Pokazał mi zdjęcia siedmiu aresztowanych mężczyzn, ale rozpoznałem tylko dwóch. Nie na nich się wtedy skupiałem.

– Oczywiście, że nie. – Wzięła go pod rękę. – Oddałeś im to serduszko?

Odchrząknął.

– Wołałem tego nie robić. Wydawali się nieprzyjemni, a ostatnią rzeczą, której potrzebuję, jest zarzut utrudniania pracy służb w miejscu przestępstwa.

– A jeśli na nagraniu z kamery monitoringu będzie widać, jak podnosisz je z ziemi? – zaniepokoiła się Rachel.

* Fotografowie zachowywali się okropnie.

– Sam już nie wiem. – Spojrzał na nią z ukosa. – Chyba mam czas, żeby wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Amnezja, demencja, coś w tym guście.

– Poręczę za ciebie – zapewniła, siląc się na dowcip.

Wyjął serduszko z kieszeni.

– Włożysz je do torebki? – spytał. – Boję się, że je zgubię.

Wsunęła je do zamykanej na suwak kieszonki na drobne w portmonetce.

Gdy wrócili do hotelu, wyniosły recepcjonista poinformował ich, że ponieważ nie wymeldowali się do południa, zostaną obciążeni kosztem dodatkowego dnia pobytu.

– W takim razie utnę sobie drzemkę – oznajmił Alex. – Nie masz nic przeciwko temu? Jestem skonany.

Zgodziła się. Było jej trochę szkoda czasu, bo za pięć godzin mieli jechać na lotnisko, ale sama też była wyczerpana.

Zaraz po wejściu do pokoju Alex włączył telewizor i zobaczyli, jak do szpitala przyjeżdżają księżę Karol i dwie siostry Diany. Rachel powstrzymywała łzy, próbując sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby zginęła jej siostra.

– Karol to ostatnia osoba, którą Diana chciałaby tam widzieć – skwitował Alex, zdejmując spodnie. Odchylił kołdrę i zasnął kilka sekund po tym, jak się położył.

Rachel przyglądała mu się przez chwilę: jego jasnym, potarganym włosom na poduszce, jego silnym plecami, krągłej łydce. Potem wydobyła pilota spod jego ręki i zastygła w bezruchu, patrząc, jak Mohamed Al-Fayed wychodzi ze szpitala ze spuszczoną głową. Biedny człowiek. W serwisach informacyjnych mówiono prawie wyłącznie o Dianie – o Dodim i kierowcy wspomniano niejako na marginesie. Rachel lekko zadrżała i wyłączyła telewizor.

Rozdział 6

Baltimore, październik 1914

– Panno Mary, telefon do pani! – zawołała gosposia i Mary zeskoczyła z krzesła w salonie, by pobiec do przedpokoju, przyciskając do piersi ogromną białą kopertę.

– Cześć, Wallie – zaszcebiotała do mikrofonu u góry aparatu telefonicznego w kształcie świecy, przykładając do ucha cylindryczną słuchawkę. – Odebrałaś już pocztę? – Przygryzła wargę.

– A jakże – zabrzmiał niski głos. – Właśnie trzymam w ręku zaproszenie na kotyliona! – Wallis z trudem panowała nad emocjami. – Zakładam, że ty też je dostałaś?

– Tak! – Mary roześmiała się uszczęśliwiona. – Och, dzięki Bogu! – Obawiała się, że Wallis nie dostanie prestiżowego zaproszenia, ponieważ jej matka nie była zamożna i Wallis mieszkała w niezbyt przyjemnej części miasta. Rodzina Warfieldów miała jednak odpowiednie koneksje i Wallis mogła iść na bal. Wykluczenie oznaczałoby towarzyską śmierć.

– Musimy przedyskutować mnóstwo spraw. Wpaść do ciebie?

– Tak, ale szybko! Zostało nam tylko sześć tygodni!

Mary wciąż miała na sobie szlafrok i papiloty we włosach, lecz nie czuła potrzeby, by szykować się na odwiedziny Wallis, która spędzała u Kirków tyle czasu, że w zasadzie u nich mieszkała. Co najmniej raz w tygodniu zostawała na noc i codziennie dziewczęta spędzały ze sobą kilka godzin.

Po przyjeździe Wallis pobiegły do pokoju Mary, żeby spokojnie porozmawiać z dala od przeszkadzających im sióstr. Najpierw obejrzały

swoje zaproszenia, a potem pochłonął je najważniejszy temat dnia: wybór stroju. Z uwagi na szalejącą w Europie wojnę poproszono debutantki, by podpisały zobowiązanie, że w tym sezonie nie ulegną tradycyjnej „rywalizacji w dziedzinie elegancji” ani „ekstrawagancji w wydawaniu przyjęć”. Zarówno Wallis, jak i Mary podpisały zobowiązanie, lecz wybór stroju stał się przez to jeszcze większym wyzwaniem: nie mogły wyglądać za bardzo elegancko, a mimo to, by użyć słów Wallis, chciały pozostać *très chic*.

– Jutro mama zabiera mnie do Fuechsl’s – oznajmiła Mary. – Chciałam tam jechać już dzisiaj, żeby nie wyprzedano wszystkich najlepszych sukien, ale umówiła się na podwieczorek z przyjaciółką. Pojedziesz z nami i pomożesz mi wybrać? Będziemy mogły poszukać sukni także dla ciebie... – Zamilkła. Wiedziała, że matki Wallis nie będzie stać na zakup sukni w najmodniejszym sklepie w mieście.

– Oczywiście, że z tobą pojedę, ale już zdecydowałam, co chcę włożyć. Spójrz. – Wallis sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej zdjęcie wyrwane z jakiegoś magazynu. – To Irene Castle w *Watch Your Step* na Broadwayu. Popatrz, jaką śliczną ma sukienkę!

Kreacja miała atlasowy gorset i szyfonową spódnicę sięgającą tuż za kolano. Zdobiły ją atlasowe wstążki i hafty urozmaicone perłami.

– Boska – szepnęła Mary. – Wymarzona suknia. Tylko co zarzucisz na ramiona?

– Na przykład szyfon, o tak. – Wallis zobrazowała to gestem. – Poproszę krawcową mamy, żeby uszyła mi taką sukienkę w bieli. – Po jej twarzy przemknął cień. – Ale najpierw będę musiała przekonać stryja Sola, żeby rozstał się z pieniędzmi. Użyję całego swojego południowego uroku i położę nacisk na to, jak ważne jest dla naszej rodziny, żebym zabłysnęła podczas debiutu w towarzystwie. Ojej, może nawet poznam tam bogatego męża i wuj będzie miał mnie z głowy!

Mary roześmiała się. Często rozmawiały o cechach, które powinni mieć ich przyszli mężowie. Mary liczyła na kogoś miłego, podzielającego jej zainteresowanie literaturą i muzyką, z kim mogłaby

wymieniać się książkami i chodzić na koncerty. Wallis nigdy nie kryła, że pragnie mieć bogatego męża, i Mary ją dobrze rozumiała. Stryj Sol, brat jej zmarłego ojca, wydzielał Wallis i jej matce pieniądze nieregularnie, czasami skazując je niemal na ubóstwo i interweniując dopiero tuż przed terminem zapłaty czynszu albo wypowiedzeniem umowy przez sprzedawcę węgla. Bogaty mąż zapewniłby jej upragnione bezpieczeństwo finansowe. Oczywiście nie musiały dodawać, że ich przyszli mężowie powinni być przystojni i czarujący, mieć doskonałe wyczucie stylu i talent do błyskotliwych wypowiedzi.

Po wyczerpaniu tematu stroju, z uwzględnieniem nawet najdrobniejszych dodatków, zaczęły rozmawiać o tym, kogo chciałyby zaprosić. Każda z debiutantek mogła zaprosić dwóch lub trzech partnerów, zazwyczaj krewnych. Wallis zdecydowała się już na kuzyna Henry'ego i męża swojej kuzynki Lelii.

– Powiem Henry'emu, że jeśli nikt inny nie będzie mnie prosił, będzie musiał cały czas ze mną tańczyć – oznajmiła. – Nie zniosłabym, gdyby przyszło mi podpierać ściany na oczach tylu osób.

– Na litość boską, nigdy nie będziesz podpierала ścian – zaprotestowała Mary. – Nie znam dziewczyny, która miałaby więcej adoratorów. Carter Osburn przetańczyłby z tobą cały wieczór, gdyby tylko dostał szansę.

Rozmawiały o tym, którzy ze znajomych chłopców na pewno poproszą je do tańca, a których trzeba będzie do tego zachęcić. Musiały poinstruować zaproszonych przez siebie gości, by wkraczali do akcji, ilekroć pojawi się choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, że będą zmuszone siedzieć podczas jakiegoś tańca.

– To będzie najważniejszy wieczór w naszym dotychczasowym życiu – powiedziała Wallis uroczystym tonem. – Być może nawet najważniejszy w ogóle.



Nadszedł wieczór 7 grudnia i wszystko szło jak z płatka, zgodnie ze starannie ułożonym planem. Przyjechały do Lyric Theatre w otoczeniu swoich gości, ściskając bukieciki. Wallis wyglądała olśniewająco, a gdy Mary podeszła, żeby się z nią przywitać, zauważyła na policzkach przyjaciółki odrobinę różu, który uważano za oznakę lekkiego „zepsucia”.

- Panno Warfield, wyglądasz pięknie – powiedziała rozpromieniona.
- Ty też, mała. Bawmy się!

Pierwszą rzeczą, która rzuciła im się w oczy po wejściu do teatru, było mnóstwo kwiatów. Ułożone obok siebie pudełeczka z ulubionymi kwiatami każdej z dziewcząt tworzyły długą, obłędnie pachnącą girlandę. Wyniesiono krzesła, by powstał parkiet do tańca, a scenę urządzono na podobieństwo czarodziejskiej altany, w której zamierzano podać kolację. Orkiestra zaczęła grać pierwszy utwór i przez następnych kilka godzin Wallis i Mary prawie się nie widywały, porywane do tańca przez kolejnych partnerów. Tańczyły one-stepa, fokstrota i walca wiedeńskiego do takich piosenek jak *When You Wore a Tulip*, *Land of My Best Girl* i *Tsin-Tsin*. Ostatni utwór, *Parfum d'Amour*, zagrano tuż po jedenastej, lecz nie był to jeszcze koniec wieczoru. Tłum młodych ludzi, wśród których znalazły się Wallis i Mary, wskoczył do samochodów i pojechał do country klubu w Baltimore, gdzie tańczono, dopóki świt nie zabarwił nieba, jakby pomalował je olbrzymim pędzlem umocowanym w pomarańczowo-różowej farbie.

Następnego dnia po południu Wallis leżała na łóżku Mary i analizowały cały wieczór.

- Trzy razy tańczyłam z Carterem Osburnem – powiedziała Wallis, krzywiąc się. – Mam szczęście, że zostały mi jakieś palce u nóg.

Mary uśmiechnęła się.

- Jest tobą tak zauroczony, że bez zastanowienia zostałby twoim chłopcem.

Wallis zmarszczyła nos.

– Podoba mi się jego samochód... – Carter jeździł packardem. – Ale on sam jest trochę za niski, nie uważasz? I bez przerwy mówi.

– A Arthur Stump? Jest wysoki i małomówny. Jechałam jego fordem do country clubu i chyba jest dobrym kierowcą.

– Tak, Arthur wydaje się fajny. Ale nie jestem pewna, czy ma głowę na karku. Moja mama mówi o takich jak on, że lubią łać wodę.

– Wallie, wydajesz się zawiedziona. Czy ten wieczór nie był tak magiczny, jak się spodziewałaś?

Wallis przechyliła głowę i zastanowiła się.

– Chyba miałam ochotę się zakochać, a nie było w kim. Nie sądzisz? To mili chłopcy, ale żaden z nich nie nadaje się na tego jedyne.

Mary roześmiała się.

– Mamy dopiero osiemnaście lat. Chyba nie zaliczamy się jeszcze do starych panien.



W sezonie towarzyskim, od grudnia do końca kwietnia, co najmniej raz w tygodniu chodziły na jakiś bal, przyjęcie, lancz albo wieczorek taneczny i obie zgromadziły wokół siebie grupkę wielbicieli, wśród których znaleźli się między innymi Tony Biddle, Reggie Hutchison, Bryan Dancy i Harvey Rowland. Czasami po kolacji zapraszały dwóch chłopców do domu Mary na zimne napoje i pogawędkę. W takich chwilach Wallis była w swoim żywiole. Mary też je lubiła. Nabrała pewności w kontaktach z chłopcami, odkąd spędzała w ich towarzystwie więcej czasu, i starała się iść za przykładem Wallis, pytając ich o sport, samochody albo wymarzoną karierę. Rodzice Mary zostawiali ich bez przyzwotki w salonie, lecz gdy młodzież zaczynała za bardzo hałasować albo gdy chłopcy zabawili do późna, ojciec Mary stukał butem w sufit.

Zgodnie z tradycją rodzina debiutantki wyprawiała dla niej przyjęcie. Matka Mary zorganizowała elegancki lancz w country clubie

w Baltimore, lecz choć Wallis błagała o to samo stryja Sola, ten odmówił wydania przyjęcia na jej cześć.

– Nie mogę sobie pozwolić na taki wydatek w czasie wojny – oznajmił i nie przekonały go łązy bratanicy.

Wallis i Mary rzadko myślały o wojnie. Europa była daleko, więc argument stryja Sola, że „to nie czas na zabawę”, wydał im się niezbyt zasadny.

– Przecież Ameryka nawet nie uczestniczy w tej wojnie – narzekała Wallis. – Stryj jest naprawdę nieznośny.

– Nieważne – pocieszała ją Mary. – Będiesz najbardziej lubianą debiutantką, nawet jeśli nie wyprawisz przyjęcia, i wszyscy zgodnie twierdzą, że jesteś najlepiej ubrana. Millicent Beacham dosłownie zzieleniała z zazdrości na widok twojej sukni z lamy.

– Millicent? – Wallis uniosła brew i w jej oku pojawił się złośliwy błysk. – Akurat jej gustem bym się nie sugerowała. Jej wielowarstwowa suknia upodobniła ją do pokazowej kapusty w wiejskim konkursie.

Mary śmiała się tak bardzo, aż się zakrztusiła, i Wallis musiała klepać ją po plecach, żeby jej przeszło.



Latem 1915 roku, gdy dziewczęta snuły plany związane z początkiem nowego sezonu towarzyskiego, babka Wallis ze strony ojca nieszczęśliwie upadła i kilka tygodni później zmarła. Rodzina pogrzeżyła się w oficjalnej żałobie, co oznaczało, że Wallis będzie musiała nosić się na czarno i przez pół roku nie weźmie udziału w spotkaniach towarzyskich. Była srodze zawiedziona, myśląc o tych wszystkich balach i kolacjach, które odbędą się bez niej.

– Opowiem ci o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami – obiecała Mary. – Ale bez ciebie to nie będzie to samo. Zapowiada się bardzo nudna zima.

Później, gdy Wallis poszła do domu, Mary przypadkiem usłyszała rozmowę rodziców ze swoją starszą siostrą Buckie. Zaciekawiona przystanęła obok drzwi jadalni.

– Mam nadzieję, że zimą Mary znajdzie jakieś nowe przyjaciółki – powiedziała Buckie. – Wallis to nie jest dla niej odpowiednie towarzystwo.

– Masz rację – odezwała się matka. – Ta znajomość może nawet zmniejszyć nasze szanse na wydanie ją za chłopca z dobrej rodziny. Jak sądzisz, Henry?

– Z całą pewnością – mruknął ojciec, jak zwykle, gdy nie chciał dać się wciągnąć w dyskusję.

Rozzłoszczona Mary wparowała do jadalni.

– Jak możecie tak mówić o biednej Wallis! To nie jej wina, że straciła ojca i ojczyma. Nie mają z matką dużo pieniędzy, ale to bardzo szanowana rodzina.

– Rodzina może i tak – odparła Buckie – ale sama Wallis ma po prostu... niezbyt dobrą opinię. Podobno flirtuje z chłopcami i wodzi ich za nos. To nie w porządku traktować kogoś w ten sposób.

– Nieprawda! – krzyknęła Mary, zaciskając pięści. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa poczuła nagłą chęć uderzenia siostry, i to mocno.

– Kochanie, ona używa różu – wtrąciła się matka. – Porządne dziewczęta się nie malują. Przecież wiesz. To bardzo niewłaściwy sygnał.

– Maluje się tylko dlatego, że ma wyjątkowo blade policzki. Różu prawie nie widać.

Matka prychnęła, najwyraźniej miała na ten temat inne zdanie.

– Oczywiście nie chcemy ci zabraniać się z nią widywać, ale mam nadzieję, że potraktujesz ten sezon jak szansę nawiązania nowych przyjaźni. Może któraś z dziewcząt będzie miała odpowiedniego dla ciebie brata. Czy nie byłoby cudownie?

Mary stała, przyciskając pięści do bioder.

– Nigdy nie porzucę Wallis – oznajmiła z pasją. – Nigdy.

Potem odwróciła się i wymaszerowała z jadalni, trzaskając drzwiami.